

zostały zastąpione przez te pospiesznie nakreślone, niewyraźne, a przez to mało istotne (a przecież wydawać by się mogło, że Zulfe – pięcioletnia dziewczynka o paskudnie oszpeconej twarzy – ma potencjał do bycia postacią równie barwną jak hiszpański inkwizytor z początku powieści). Prawdopodobnie ta zmiana stylu jest związana z przeniesieniem akcji powieści z Półwyspu Iberyjskiego do Anatolii, a co za tym idzie, ze zmianą z zachodniego stylu przyczynowo-skutkowego na wschodnie opowieści szkatułkowe. Rozumiem, że zagubienie w nich czytelnika było celowym zamysłem autorki. Ale niestety, kontrolowany nieład przekroczył cienką granicę dzielącą go od pospolitego bałaganu.

Mimo to ze zdziwieniem czytam nieprzychylnie recenzje książki. Czytelnicy narzekają na nieobecność głębszego sensu w powieści, brak lekkości czy chociażby dynamiki. Dla mnie Lustra miasta pozostają cudowną mozaiką, w której poszczególne elementy otwierają coraz to nowe wątki i nie pozwalają im się skończyć. Mozaiką wyjątkowo barwną, w której ludzie przyjmują cechy miast swoich narodzin. Śmierć jest samotna, duchy psotne, a sztylet dumny. A wszystko to zostało ubrane w przepiękne zdania, które czynią z Şafak prawdziwą mistrzynią stylu. Książka wręcz promieniuje finezyjnie wyspiewanymi obrazami o niepowtarzalnych zapachach. Elif, pisarka dwujęzyczna, w wywiadach często podkreśla, że angielski jest dla niej językiem logiki, a turecki magii. Jej opowieść jest magiczna. Miała taka być. Nie chodziło o ustosunkowanie się do problematyki macierzyństwa, mniejszości narodowej czy tożsamości. Nie do tego służyła. Wydarzenia społeczne są jedynie tłem do opowiedzenia baśni. Przywołam słowa autorki: „To tylko opowieść”. To AŻ opowieść. Nie pragnęłam niczego więcej.

Agnieszka Ptaszyńska

Mamo, moje ciało cierpi!

Julia Fiedorczyk
Poranek Marii i inne opowiadania
 Biuro Literackie
 Wrocław 2010

Mamo, moje ciało chce tańczyć – to tytuł pierwszego z opowiadań Julii Fiedorczyk zawartych w tomiku *Poranek Marii i inne opowiadania*, o którym pragnę opowiedzieć. Nie przez przypadek: zbiór ten prowokuje bardzo silną refleksję o ciele właśnie. Dlaczego chce tańczyć? Taniec daje specyficzny rodzaj wolności, w którym czujemy, że nasze ciało współgra z resztą nas. Chociaż bardzo nietrwale, to uczucie niezwykle cenne, bo przecież zazwyczaj doskwiera nam („ciało jest więzieniem duszy”) jakaś niejednorodność.

Szczególnie często przydarza się to ciału kobiety, które ktoś lub coś próbuje od niej oddzielić. Bohaterka tytułowego opowiadania doświadcza swojego ciała dość intensywnie, o czym świadczą choćby wypowiedziane niemal epifanicznie: „Teraz już wie na pewno, że jej stopy śmierdzą”.

Potem wymiotuje po winie wypitym na ściśnięty do granic możliwości żołądek, by wreszcie doświadczyć swego ciała najsilniej, a zarazem najboleśniej:

„I w pewnym momencie Ryśka rozumie, że nic się już nie da zrobić, że jej los, tutaj, dzisiaj, w krzakach, między potłuczonymi nagrobkami, pod niebem otwartym na oścież jak czyjeś czułe ramiona, to leżeć na ziemi, dźwigać ciężar tego chłopca, to przetrwać, podczas gdy on klei się

do niej i ściąga majtki. [...] potem czuje gwałtowne szarpnięcie bólu między nogami, a potem jeszcze więcej bólu, a zaraz potem już nic [...]”.

Maria musi uciec ze swojego ciała, by niechciany akt jej nie dotknął, musi pozostawić swoje ciało samemu sobie. W opowiadaniu Mamo, moje ciało chce tańczyć do takich samych wniosków dochodzi przecież 13-letnia M. (po tym, jak pierwszy raz poszła do szkoły, dumna, w ślicznym koronkowym biustonoszu):

„[...] w mig rozumie – to się nazywa «kobieca intuicja» – że aby przetrwać, trzeba nie mieć ciała. No więc nie ma”.

A kiedy potem w domu myje się, zamyka oczy, by nie patrzeć na swoje piersi, które parę godzin temu boleśnie ugniatał kolega z klasy. Tylko czy potem da się jeszcze do ciała powrócić, tak jak gdyby nigdy nic się nie stało? Czy, opuszczone przeze mnie samą, przyjmie mnie z powrotem? Zresztą: czy mam odwagę, by tam wrócić?

Cytowany powyżej Poranek Marii poprzedzony jest opowiadaniem Imago. Jego bohaterka jest właściwie przeciwieństwem Maryški. Wyrzeka się ciała. Z niemal pełnym sukcesem niweluje wszelkie przejawy jego fizjologii. Gardzi nimi. Czuje wstręt do pokarmu, jakim mogłaby je żywić; wstręt do brudu, który próbuje na nim osiąść; do rosnących paznokci i łuszczącego się naskórka. Oddziela się od swojego ciała, zanim zdąży zabość ją tak jak Marię, albo może dlatego, że już zdążyło i nie chciałaby tego powtarzać nigdy więcej. Systematycznie dąży do jego pełnego unicestwienia.

Problem w tym, że nie da się uśmiercić swojego ciała, nie zabijając siebie. Ale też, powtórzmy, „aby przetrwać, trzeba nie mieć ciała”. Pewnie w związku z tą aporią Leda wyznaje:

„[...] jestem żywa, bardzo żywa – choć noszę w sobie także kamyk śmierci – a życie, dopóki

trwa, jest nieskończone jak morze. Jak śmierć, która byłaby nieskończona, gdyby nie to, że raz po raz coś przerywa jej monotonne trwanie. Wtedy z białego szumu wyłania się dźwięk: początkowo cichy, choć od razu śpiewny, a potem rosnący w siłę, by w końcu rozkwitnąć jak symfonia. Ja, Leda, jestem tą symfonią! «Kobietą», cokolwiek by to miało znaczyć... A raczej wieloma kobietami, choć żadną z nich na stałe”.

Niecodzienne odwrócenie – zazwyczaj śmierć uważamy za to, co przerywa życie; u Fiedorczyk inaczej – to życie jest momentem dramatycznym, śmierć stroną bierną, która pęka pod jego wpływem. Co nie zmienia faktu, że to ona życie w ogóle umożliwia; z gnijących liści czerpią soki te zielone.

Oscylowanie pomiędzy życiem a śmiercią to u Julii Fiedorczyk kondycja kobiety. W związku z tą potrzebą ciągłego umierania, aby przeżyć, jej bohaterki (może lepiej byłoby powiedzieć: bohaterka) wypracowały specyficzną – proteuszową – strategię trwania. Śmierć nie oznacza zniknięcia, tylko zmianę formy. Kobieta umiera pozornie jak dżdżownica. Cierpienie jej nie zabija, lecz rozszczepia na nowe istoty.

Kobiecość jest w tym tomie właściwie istotą wszechświata. Bo jest nią nieodłączność cierpienia; cykliczność narodzin i śmierci. Z ich kręgu pragną wyrwać się bohaterowie Orgaspacy. Postanawiają oni odciąć się od niedoskonałego ziemskiego istnienia, na zawsze opuścić ląd i zamieszkać na hermetycznym statku, gdzie nie ma głodu, chorób ani odpadów radioaktywnych. Jednakże początkowe uczucie pełni szczęścia mija. Okazuje się, że życie w tym doskonałym mikroświecie jest dojmująco jałowe. Jeden z jego mieszkańców, a zarazem narrator opowiadania, gorzko żałuje swojej decyzji i dałby wiele, by jeszcze raz móc zobaczyć absurdalną ziemię, której się wyrzekł. Jego jedyną pociechą jest +

snucie tej opowieści. We wspomnieniach z łądu, które spisuje, pojawia się tajemnicza kobieta (a jakże!) w czerwonej sukience – piękna, choć poraniona – którą traci, nie poznawszy nawet jej imienia. Zdaje się ona figurą ogólnej utraty, jakiej doznał, rezygnując z życia na ziemi.

W Poranku Marii... cenna jest emanująca zeń kobiecość niedoprawiona potocznym feministycznym zajętym. To wywiera wrażenie autentyczności – kobiecość, która po prostu jest sobą, nie chcąc niczego udowadniać. Tak pomyślałam, kiedy pierwszy raz przeczytałam opowiadania Julii Fiedorczuk, i pociągnęło mnie to z wielką siłą. Jednak kiedy teraz sięgam po tę książkę, zachwył sukcesywnie opada. Miejsca, w których wcześniej głośno przetykałam ślinę, teraz obojętnie, może nawet z pewnym zniechęceniem, przebiegam oczyma. Jest w nich jakaś późno wyczuwalna pretensjonalność.

Tomik, który miał być literackim złotem czarownic, z czasem zaczyna sprawiać wrażenie legowiska śpiących królewien. To, co na początku doceniłam – brak rewizji kobiecych krzywd, przeradza mi się w bezgłóśnię, bierne cierpienie; miękkość dżdżownicy, plazmę, która może pozorować wiele kształtów, lecz wciąż pozostaje plazmą. Bohaterki czekają, aż pożywna ściółka, w której się nurzają, pozwoli im wyrosnąć – bez ukierunkowania, w oczekiwaniu na kolejny atak rozkładu. Wyjątkiem jest buntownicza anorektyczka z Imago, która niweluje gnicię kosztem samej siebie. Chociaż jej bunt obiektywnie nie ma szans powodzenia, jej niepoddańcza natura nadaje jej charakter, którego pozbawione są zrosłinniałe współbohaterki. Jednakże, koniec końców, wszystkie – metaforycznie bądź nie – umierają. Życie jest fenomenem, „więc jeśli coś spadło wam z nieba – i jeśli to nie była śmierć – przekazcie, koniecznie, dalej”.

Anna Wódkowska

O pożytkach płynących z notatek i niedomówień

Marian Stala
Niepojęte: Jest
 Biuro Literackie
 Wrocław 2011

Niepojęte: Jest to swoiste krytycznoliterackie pożegnanie, relacja świadka, który schodząc z warty, zaprasza do uczestniczenia w przeszukiwaniu nieznanego. Odejmowanie, ściszenie, wygasanie – oto logika, która rządzi nienapisaną książką o poezji i krytyce autorstwa Mariana Stali. Podtytuł – wskazujący na niedopowiedzenie, fragmentaryczność, formę notatki – wyraża bezsilność i jednocześnie pewne zobowiązanie wobec literatury. Ton pożegnania, jak pisze we wstępie swojej książki autor Przeszukiwania czasu, jest zamierzony; mówi o przejściu, o przełamaniu, nieodwołalnym następstwie pokoleniowym i łączy się w sposób bezlitosny z odstępniem krytycznoliterackiego pola, które odczytywać należy raczej jako gest wskazujący na dialog niż odrzucenie, to jest na kontynuację lektury poezji żywej, która jest „jak transfuzyjna krew dla pracy serca”, co „cudze krwiobieg spokrewnia, // i cudze ożywia wargi”.

Naczelną kategorią jest tutaj czas leżący u podstaw samego aktu pisania i czytania, ale będą-